

Łobodowski. Ostatni ataman Rzeczypospolitej [TPCT 527]

Polska i Ukraina stoją znów wobec pytania, które Łobodowski stawiał przez całe życie: czy wspólnota losu geopolitycznego może stać się wspólnotą wartości? Czy resentymenty historyczne okażą się silniejsze od konieczności przestrzeni i geografii politycznej? I może właśnie dlatego warto go teraz czytać, kłócić się z nim i brać go serio: ze wszystkimi jego kozackimi wybrykami, ale też intelektualnym rozmachem, który pozwala nam sięgać do tych argumentów.

Są postacie, które nie mieszczą się w swoich epokach. Jakby urodziły się dla świata, którego już nie było, gdy stawiały w nim pierwsze kroki. Józef Łobodowski przyszedł na świat w 1909 roku, na pograniczu, które samo w sobie było już cieniem dawnego ładu: na skrzyżowaniu języków i kultur, które miało wkrótce zniknąć pod naporem XX wieku. Wiek totalitaryzmów zadecydował, że wielokulturowe dziedzictwo Jagiellonów powinno ostatecznie stać się przeszłością. Łobodowski tej decyzji nie uznawał. Pozostał wierny czemuś starszemu, bardziej kłopotliwemu i paradoksalnie bardziej wymagającemu niż każda z proponowanych prostych tożsamości: idei Rzeczypospolitej jako dobrowolnej wspólnoty wolnych narodów, etosowi pogranicza, kozackiej niepokorności wobec każdego uniformu, ba! także tego, który ma barwy jego własnych.

Przydomek „Ataman Łoboda” był charakterystyczną literacką maską, po trosze także lubianą przez niego kawiarnianą pozą. Łobodowski nosił go z widoczną przyjemnością i pewną dozą autoironii, którą wielcy romantycy zawsze rezerwowali dla samych siebie. Wywodził ród od hetmana kozackiego Grzegorza Łobody – genealogia ta była prawdopodobnie spreparowana przez ojca na potrzeby rodzinnej legendy, ale cóż z tego: legendy rzadko bywają autentyczne w dosłownym brzmieniu, czasem jednak są prawdziwe w sensie głębszym. On tę afiliację przyjął i rozwinął w kierunku, który interesuje nas dziś bardziej niż rodowe papiery: uczynił bowiem z kozackości formę ducha, a nie krwi. Być Kozakiem w jego rozumieniu znaczyło być człowiekiem pogranicza: niepodlegającym żadnemu centrum, wiernym własnym zobowiązaniom bardziej niż cudzym poleceniom, zdolnym do gwałtowności i czułości w tej samej chwili, na końcu zaś nieufnym wobec każdej hegemonii, która chce porządkować świat podług prokrustowego łoża. Ten typ człowieka miał swoją długą tradycję na wschodnich rubieżach dawnej Rzeczypospolitej i Łobodowski wiedział o tym doskonale.

W tym wszystkim kluczową rolę odgrywa Rzeczpospolita. I przecież nie rzecz w umiłowaniu II RP jako państwowego ładu politycznego z konstytucją i ministerstwami – choć i tę Łobodowski na swój sposób kochał, ostatecznie za nią walczył i przeżył jej upadek. Chodzi o coś starszego i trudniejszego do opisanego: o ideę federacji kultur, o projekt wielonarodowej wspólnoty, która nie wymaga od swoich członków zrzeczenia się tożsamości jako ceny za przynależność. Ta Rzeczpospolita – jagiellońska, przedrozbiorowa, zarazem już mityczna, ale kulturowo niezwykle prawdziwa i płodna – była dla Łobodowskiego żywym politycznym i etycznym programem. Co więcej, był żarliwym zwolennikiem ruchu prometejskiego, wierzył, że bez niepodległej

Ukrainy nie ma bezpiecznej Polski, że losy obu narodów są tak splecione, iż wzajemna nienawiść między nimi służy wyłącznie Moskwie. Pisał o tym, tłumaczył o tym, kłócił się o to, i robił to w czasach, gdy podobne poglądy były na obu stronach uważane za naiwność albo zdradę.

Ta biografia ma też swoje ciemniejsze piętra. Łobodowski był w młodości zafascynowany komunizmem, co w jego pokoleniu i przy jego wrażliwości społecznej nie jest może szczególnie zaskakujące, lecz co sam wspominał bez sentymentu i bez usprawiedliwień. Zerwanie przyszło w 1935 roku, gdy dotarła do niego prawda o Wielkim Głodzie na Ukrainie, o tej rozmyślnej, biurokratycznie zaplanowanej zagładzie przez głód, którą Stalin przeprowadził na narodzie, za którego wolność Łobodowski gotów był oddać własną. To zerwanie stało się zarówno intelektualną rewizją poglądów, ale także silnym moralnym ciosem, po którym pewne rzeczy nie są już możliwe. I właśnie ta nieodwracalność czyni z Łobodowskiego postać w pewnym sensie tragiczną. Za tę prawdę płacił ceną coraz większej izolacji: od komunistycznych salonów, od ugodowych emigracyjnych środowisk, od każdego, kto wolał milczeć, żeby nie komplikować sobie relacji z aktualnym układem sił. Łobodowski komplikował. I robił to z tą swoją kozacką, zadziorną satysfakcją.

Jest pewnym biograficznym paradoksem godnym jego własnej poezji fakt, że większość życia spędził w Madrycie. Ostatni ataman Rzeczypospolitej wiązał koniec życia ze stolicą królestwa, które w XVI wieku było jednym z największych imperiów świata, a w XX – europejską prowincją zarządzaną przez dyktatora. W tej Hiszpanii Łobodowski tłumaczył Lorkę i świętego Jana od Krzyża, współtworzył polską sekcję Radia Madryt i trwał przy swoich przekonaniach. Był

„chuliganem literatury” — jak go czasem nazywano i „wizjonerem *par excellence*” jednocześnie, co samo w sobie świadczy o tym, że nie dał się zamknąć w żadnej etykietce. A etykiety bardzo próbowano do niego przyklejać: romantyk, awangardzista, komunista, antykomunista, Polak, Ukrainiec, skandalista, prorok. Żadna nie trzymała się wystarczająco długo.

Czytamy go dziś w momencie, który — jakkolwiek banalnie to brzmi — czyni jego myśl bardziej aktualną, niż ktokolwiek chciałby, żeby była. Polska i Ukraina stoją znów wobec pytania, które Łobodowski stawiał przez całe życie: czy wspólnota losu geopolitycznego może stać się wspólnotą wartości? Czy resentymenty historyczne okażą się silniejsze od konieczności przestrzeni i geografii politycznej? I może właśnie dlatego warto go teraz czytać, kłócić się z nim i brać go serio: ze wszystkimi jego kozackimi wybrykami, ale też intelektualnym rozmachem, który pozwala nam sięgać do tych argumentów. Może najgłębsza myśl, jaką pozostawił Łobodowski, brzmi tak: wolność narodów Europy Wschodniej jest sprawą wspólnoty losu, której nie da się unieważnić ani układami w Jałcie, ani imperialną przemocą, ani cynizmem nowoczesnej polityki. Ataman wie o tym lepiej niż urzędnik.

Jan Czerniecki

Redaktor naczelny

**Wszystkie artykuły w „Teologii Politycznej Co Tydzień” [527]:
„Łobodowski. Ostatni ataman Rzeczypospolitej”**

